



GONIAĄCY
ZA
SŁOŃCEM

Tak, dobrze to pamiętam. Dzień po dniu. Godzina po godzinie... Myśli, słowa, obrazy...

Apis. Lądowanie. Wyjście spod kopuły...

Szara pustynia. Od horyzontu biegly dlugie, smukle cienie pseudokaktusow rosnacych na wzgórzach. Stałem oparty o ścianę kopuły. Za nią pozostał mój świat. Wąskie, kręte przejścia pomiędzy pomieszczeniami, ludzie, kwiaty... tu byłem obcy. Nie mógłbym nawet oddychać.

Słońce zachodziło wolno. Za wolno. U nas na Ziemi wszystko było inne. Nawet słońce. Teraz stałoby się wielką, czerwoną kulą znikającą za horyzontem. Jego krwista barwa udzielałaby się kamieniom, drzewom, domom...

To było niebieskawe. Mała, oslepiająca, niebieskobiała kula zatrzymana w pozornym bezruchu. Powiał wiatr i przycisnął mnie do ściany. Czekałem.

W odległości kilkudziesięciu kroków przebiegł pierwszy panok. Na zachód. Za słońcem. Za nim drugi, trzeci... Początek Wielkiego Ruchu. Wiatr wzmagal się. Klęknąłem. Koło mnie z trzaskiem zamknęła się jakaś roślina. Spojrzałem na nią. W ciągu kilku sekund skurczyła się w niewielki, owalny kamyczek.

Ziemia zadrżała. Szły hapiki. Szara ława wałaca przed siebie. Na oslep. Za słońcem. Nigdy dotychczas nie widziałem ich żywych, a na ekranie nie robiły tak wielkiego wrażenia. Tuman piasku zasłaniał ciała wyprężone w skoku. Wydawało się, że nie dotykają nawet ziemi. A mimo to ziemia drżała. Dziesiątki, setki tysięcy... Stado zakręciło w stronę kopuły. Instynktownie skuliłem się w swoim kombinezonie. Eksperci wielokrotnie zapewniali mnie, że nawet podczas Wielkiego Ruchu hapiki omijają kopułę. Czyżby się mylili? Stado nadciągało jak wysoka, pionowa ściana wody zmywająca każdą groblę i tamę. Przytłaczało swoim ogromem. A przecież pojedynczy hapik nie jest duży. Wyższy o kilka centymetrów od konia, a może i to nie.

„Po co tu biegną? – pomyślałem. – I tak nie przeskoczą kopuły. Może wiedzą o mnie? Ależ to niemożliwe” – uspokajałem się. – Szary

kombinezon, szary piasek, szara kopuła... Oczywiście ludzie wiedzieli, po co przybleciałem tu z Ziemi. Tego nie dało się ukryć. Ale hapiki? Nadciągały. Piasek przesłonił wszystko.

„Jeśli przebiegną tędy, straty będą jak po trzęsieniu ziemi” – pomyślałem.

Grunt kołysał się pod ich ciężarem. Przez chwilę wydawało mi się, że już tylko moje ciało osłania kopułę i ludzi w niej żyjących. Przywarłem do ziemi.

Lekkie, niemal bezbolesne stąpania, tak, jakby hapiki chciały wykorzystać tych kilkanaście centymetrów, odbijając się ode mnie w swoim skoku na ścianę. To było nieprawdopodobne. Ich ażurowe, sprężyste ciała płynęły nad kopułą, jakby nie stanowiła ona dla nich żadnej przeszkody. Co się działo w środku, nietrudno było sobie wyobrazić. Ze stołów spadała cenna aparatura i tworzyła na ziemi płataninę i stos połamanych osłon, kabli, potłuczonego szkła. O laboratoriach chemicznych lepiej nie myśleć. O szpitalu, szkołach, fabryce żywności też.

„Bydlaki – pomyślałam z bezsilną złością. – Głupie bydlaki. Nienawidzę was... Nienawidzę...”

Bezbolesne początkowo uderzenia paliły. Wiedziałem, że jeśli kombinezon nie wytrzyma, umrę. I nagle stało mi się to obojętne. Bylebym przedtem zdążył zabić chociaż jedno z nich. Bylebym zdążył. Modliłem się o to, usiłując schwycić którąś z nóg, tak bezlitośnie wciskających mnie w piasek.

– Zabiję cię... Zabiję... – powtarzałem, macając wokół.

Wreszcie złapałem coś. Cienką, twardą nogę. Poderwało mnie. Nie puszczałem. Tłukłem ciałem o ścianę kopuły, a hapik gnał niemal pionowo w górę, tak, jakby nie czuł mojego ciężaru. Ból stawał się nie do zniesienia. Puściłem nogę i zacząłem zsuwać się. Najpierw powoli, potem coraz szybciej.

Szpital. Białe ściany, charakterystyczny zapach... W pokoju była pielęgniarka. Siedziała za biurkiem i wypełniała jakiś formularz. Młoda. Ładna. Drgnęła, gdy poruszyłem się.

– Chcę... mówić... z... Szefem – powiedziałem powoli.

Nie spojrzała na mnie. Głucha czy co?

– Chcę mówić z Szefem – powtórzyłem trochę pewniej.

– Niech pan nie zwraca mu głowy – odezwała się wreszcie. – Powinien pan wiedzieć, co się tu teraz dzieje.

– Domyślam się. Muszę przekazać parę spraw. Wie pani, że przyleciałem z Ziemi. To bardzo ważne. I tajne. Pani jest taka śliczna – lgałem na potęgę – że chyba nie będzie się pani znęcać nad biednym schorowanym staruszkiem. Musiałbym teraz wstać...

Spojrzała na mnie kokieterystycznie spod długich, wywiniętych rzęs.

– Ładny z pana staruszek – zachichotała. – Powiem naczelnemu. Niech zadecyduje.

Widocznie umiała go przekonać, bo w dwie godziny później przyszedł zawiadomić mnie, że Szef zaraz tu będzie. Rozejrzał się po pokoju, przestawił kwiaty na stolik koło mojego łóżka, poprawił koldrę... Wychodząc odwrócił się i stojąc w otwartych drzwiach powiedział:

– Zrobił pan na pannie Lali piorunujące wrażenie. Jest zachwycona.

– Tak być powinno – mruknąłem do siebie, bo tamten już wyszedł.

Szef był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną. Wprowadziła go pielęgniarka. Ta sama panna Lala. Usiadł na skwapliwie podsuniętym stołku. Ona stanęła za nim.

– Chcę porozmawiać z panem o hapikach. Poufnie – dodałem widząc, że panna Lala nie zamierza zostawić nas samych.

– Proszę wyjść – powiedział. – Nooo? – zwrócił się do mnie, nie sprawdzając nawet, czy wyszła.

Panna Lala wypląnęła majestatycznie, ale nie ręczyłbym, czy nie stoi za drzwiami z uszkiem czujnie przyciśniętym do framugi.

– Niech pan wezwie kogoś ze strażników. Do pilnowania drzwi – powiedziałem.

– Proszę się nie wygłupiać... – zaczął.

– Wiem, co mówię – huknąłem.

Wyszedł. Widać nie sprawdził jeszcze moich dokumentów. Nie fatygowalby się tak dla zwykłego sierżanta. Liczyłem na to.

Po chwili wrócił.

– Za drzwiami stoi strażnik. Słucham pana.

– Wie pan, po co tu przyleciałem? – zacząłem. – Miałem zorientować się, czy pańskie sugestie odnośnie hapików są prawdziwe.

– Tak.

– Będzie pan kontaktował się z Ziemią. W sprawie sprzętu-aparatury...

– Komunikat już wysłałem.

– To proszę nadać drugi. Niech najbliższą rakieta przysła kilkadziesiąt karabinów maszynowych. Zrobimy porządek z tym plugastwem.

– Co?!

– To był atak. Hapiki specjalnie zakręciły w stronę kopuły. Nie bieglej za słońcem.

– Bzdury. Nigdy do tej pory...

– Patrzyłem na to. Zakręciły w stronę kopuły tak, jakby ktoś wydał im rozkaz.

– Pan wierzy w Zorro!?! – niemal podskoczył na stołku.

Niewiele brakowało, a ja podskoczyłbym również.

– Jakiego Zorro!?!

Uspokoił się już.

– Ludzie opowiadają różne bajki. – Usiłował zatrzeć wrażenie tego, co powiedział.

– Proszę mówić. Mam specjalne upoważnienie.

Nie miałem, ale teraz dostanę je bez trudu.

– Gadają, że pomiędzy hapikami jest człowiek. Jeździ na nich, żyje z nimi. Ma tu swoich szpiegów, którzy donoszą mu...

– Skąd bierze powietrze, jedzenie...

– Sąd. Ostatnio działalność hapików bardzo się ożywiła. Mam wrażenie, że są naszymi wrogami. Wie pan, jak to jest – nachylił się do mnie. – Niby nic się nie dzieje, a jednak.. W dzień paradują pod fabrykami powietrza. Nie, nie atakują ludzi. Po prostu chodzą. Personel denerwuje się. Niektórzy histeryzują. W dodatku to gadanie o Zorro. Dlatego prosiłem, aby przystali tu kogoś.

Tak. Nie miał dowodów, więc go zbyli. Przysłali mu zwykłego sierżanta. Mnie. „Niech zobaczy na miejscu. Jeżeli nie poradzi sobie, to go odwołamy”. Poradzę sobie. Kara-

biny dadzą bez żadnych kłopotów. Mnie by nie dali, ale Szefowi Planety... Już z laserami byłoby trudniej. Można nimi zabijać ludzi, ale karabiny... Nawet ściany pomieszczenia nie przebiją. Niegroźna zabawka. W sam raz na hapiki.

Zacisnąłem zęby i zacząłem gramolić się z łóżka. Bolało.

– Nic mi nie jest – powiedziałem. – To tylko stłuczenia.

Raport mogłem wysłać najpóźniej za miesiąc. Im więcej zdążyć przedtem zrobić, tym lepiej. Od tego raportu zależy cała moja kariera.

– Nie musi się pan spieszyć – powiedział. – Jest noc. Nic pan nie zrobi.

Prawda. Zupełnie zapomniałem. Była noc i hapiki wyniosły się na zachód. Za słońcem.

– To dwa tygodnie?

– Tak.

Położyłem się. Ma rację. Teraz muszę wszystko dokładnie przemyśleć. Potem zostaną mi tylko dwa tygodnie.

* * *

Świt. Szary jak wszystko. Czyżby na tej planecie nie istniały barwy? Słońce wzeszło ponad horyzont, ale zwierzęta jeszcze się nie pojawiły. Za zimno. Dopiero, gdy ziemia nagrzeje się, powróci tu życie. Życie wegetujące w blasku białego karła. Ich słońca.

Dziwna planeta. Dziwna. To dobre określenie. Wszystko jest dziwne. Nawet życie rozpaczliwie broniące się przed śmiercionośną dlań nocą. Dziwne są rośliny chowające się po zachodzie słońca. Dziwne zwierzęta goniące za słońcem. Dopiero, gdy przyjdzie tu człowiek, powstanie na tej dziwnej planecie prawdziwe, normalne życie. Zakwitną kwiaty, wyrosną drzewa... Ale najpierw trzeba wybudować fabryki powietrza. Po to tu jesteśmy. Stwarzamy nowy świat. Świat pełen szczęścia, radości i uśmiechu.

Promienie słońca oświetliły wzgórza na horyzoncie. W mgnieniu oka spod ziemi wystrzeliły kępy pseudokaktusów. Świt.

* * *

Szef zaprosił mnie na obiad. Był to wielki zaszczyt, ale z pewnością nań zasłużyłem. Jeszcze leżąc w szpitalu przejrzałem akta wszystkich ludzi znajdujących się na Apisie oraz kazałem ustalić miejsca ich pobytu. Byli tutaj, pod główną kopułą lub w którejś z baz leżących w pobliżu fabryk powietrza. Zorro mógł, co prawda, przylecieć zwykłą rakiętą turystyczną, ale nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Zresztą im dłużej myślałem o nim, tym bardziej wątpiłem w prawdziwość tych pogłoszek. Człowiek pomiędzy hapikami? Po co? Dlaczego?

Drzwi otworzyła mi wysoka, chuda dziewczyna.

– Tatuś czeka na pana – powiedziała.

Jego córka. Pierwsza partia na Apisie. Przyjrzałem się jej. Brzydka. Wyglądała na siedemnaście lat, wiek, w którym dziewczyna może być już prawdziwą kobietą lub... czymś takim jak ona. Za długim, za chudym podłotkiem o nieokreślonej płci.

– Mam na imię Sara. Zaprowadzę pana.

Szła przede mną. Miała na sobie długą, białą sukienkę, w której nie umiała się poruszać. Z koronkowych rękawów wystawały patykowane ręce. Chudości jej nóg mogłem się tylko domyślać. Ani porównania z Lalą. Tylko, że Lala nie była córką Szefa.

– Ma pani śliczną sukienkę – powiedziałem.

– Dziękuję.

Otworzyła przede mną drzwi. Duży pokój wypełniony masywnymi, zbędnymi sprzętami. Nie było wątpliwości. Pochodziły z Ziemi, a sam ich transport musiał kosztować majątek. Przy stoliku paru mężczyzn grało w brydża. Znałem wszystkich. Szef Apisa, proboszcz tutejszego kościoła, dyrektor szkoły i naczelny lekarz. Brakowało tylko mnie. Przedstawiciela Ziemi w randze sierżanta. Dokończyli robra i przeszliśmy do jadalni. Znowu ten barbarzyński przepych mebli zrobionych z prawdziwego drewna, bawełnianych obić, wełnianych kilimów... W czasie obiadu rozmowa nie kleiła się. Dopiero przy kawie wymieniliśmy kilka uwag na temat tutejszego klimatu i najnowszych wiadomości z Ziemi. Oczywiście, bardzo szybko rozmowa zeszała na hapiki. Nie

pamiętam, kto zaczął. Chyba doktor, którego szpital wciąż jeszcze był przepelniony.

– Dla mnie słowo hapik oznacza coś milego. Kto nadał temu paskudztwu taką nazwę?

– Pierwsi ludzie. Z góry przypominają literę H, z boku pi. Jak inaczej mieli je nazwać?

– Wtedy nic nie wskazywało na to, że będą z nimi kłopoty – powiedział ksiądz.

– I to jakie. Szpital przepelniony. Brakuje łóżek, środków opatrunkowych... Pana musieliśmy położyć w moim gabinecie. Nigdzie nie było miejsca. Nawet na korytarzu. Dobrze, że nie ma ofiar śmiertelnych.

– Nasza kopuła stoi na ich trakcie. Fabryki powietrza też – powiedziała Sara.

– To niech biegają gdzie indziej. Taka dobra droga nie może się marnować. Sześć kilometrów szerokości!!! Musielibyśmy sprowadzić z Ziemi specjalne maszyny, techników, surowce... A i tak nie wybudowalibyśmy czegoś takiego. Sześć kilometrów szerokości!!!

– Biegały tędy dziesiątki tysięcy lat. Teraz muszą nakładać drogi. Mają mniej czasu na jedzenie. Po piasku młode nie nadążają za stadem. Muszą je nieść.

Poróżowiła. Wyglądała teraz prawie ładnie.

– Co nas to obchodzi? – powiedział jej ojciec. – Niech sobie idą, gdzie chcą i robią, co chcą. Byleby nam nie przeszkadzały. Do tej pory omijały kopułę. Dopiero teraz...

– Te dwie nowe fabryki powietrza też są na ich drodze.

– Po co te spory? Czy to nie wszystko jedno? – powiedział zdruzonym głosem kierownik szkoły. – Gdy przyjdą ludzie, na Apisie i tak nie będzie już ani jednego hapika.

– Dlaczego?!

– Gdy warstwa powietrza wokół planety stanie się grubsza, zmniejszy się różnica temperatur pomiędzy dniem i nocą. Klimat będzie łagodniejszy. Oczywiście, średnia temperatura niewiele się zmieni, ale jej wahania będą mniejsze. Plus minus czterdzieści, pięćdziesiąt stopni... Średnio jest tu trzysta stopni Kelvina. Hapiki nie mogą żyć poniżej czterystu. Dlatego biegają za słońcem.

– Nie możecie im tego zrobić! – Sara poderwała się z miejsca. – Ich ziemia! Nie wolno...

– Ludzie nie mogą żyć tylko pod kopułą. Potrzebna im jest przestrzeń – powiedział spokojnie Szeff.

– To jest morderstwo!! To...

A jednak była ładna. Małżeństwo z nią nie było tak wielkim poświęceniem, jak mi się wydawało.

– Wyjdź!

To jej ojciec.

– Poczekaj, drogie dziecko – do rozmowy wtrącił się ksiądz. – Pan Bóg w swojej nieskończonej dobroci dał człowiekowi rozum. Wszystko, co z niego powstało, też jest darem Bożym. Nóż, laser i fabryka powietrza. Jeżeli Bóg uznał, że to właśnie my zasługujemy na ten jego najwspanialszy dar, nie wolno nam z niego nie korzystać. A inni? Cóż, możemy się za nich modlić. I za hapiki. Chociaż nie wiem, czy warto. Przecież to tylko zwierzęta. A my niesiemy wysoko, jasno świecącą pochodnię rozumu. Z woli bożej. Saro, dawno się nie spowiadałaś. Dlaczego?

Wyszła.

– Ożenię się z nią – zdecydowałem. – Ożenię się z nią, jeśli tylko będzie to możliwe.

* * *

Cały następny dzień poświęciłem hapikom. Pod kopułę wracałem tylko po to, aby się przespać. Trzy godziny, cztery... Potem znów gaśnienicówka wiozła mnie na pustynię. Wkładałem kombinezon, zapinałem aparat tlenowy i szedłem przed siebie, wiedząc, że gdziekolwiek się udam, tam na pewno napotkam ich stado. Szukałem Zorra, ale go nie znalazłem. Wszędzie tylko te dziwne, okrutne zwierzęta złożone jakby z samych nóg. Nóg, które pozwalały im gonić za słońcem. Gdy po zachodzie wróciłem pod kopułę, dowiedziałem się, że podczas Ruchu, hapiki zniszczyły obie nieukończone fabryki powietrza.

W nocy nadeszły karabiny. Wśród nich kilka zwykłych. Do obrony własnej. Z ochotników stworzyłem grupy mające strzec kopuły i fabryk.

Zaczęło się niespodzianie. Liczyliśmy, że dzień upłynie spokojnie, natomiast pod wieczór mogą być jakieś kłopoty. Mimo to, co kilkanaście godzin objeżdżałem stanowiska sprawdzając gotowość bojową.

Hapiki były spokojne. Jak zawsze kręciły się w pobliżu fabryk, nie zbliżały się na odległość strzału. To był piętnasty czy szesnasty obchód. Zauważyłem, że wokół fabryk jest ich mniej. Dopiero przy będącej w remoncie fabryce nr 35 napotkałem całe stado. „Zostanę tutaj kilka godzin – zdecydowałem. – Nie wiadomo, co one knują”.

Hapików przybywało. Początkowo powoli. Potem nadciągały stadami. Horyzont podniósł się i przybliżył. Szare cienie mieszały się z szarym piaskiem pustyni tworząc wał otaczający fabrykę. Przez lornetkę dostrzegłem jakiś ruch. Najpierw bezładny, potem coraz bardziej uporządkowany. Wał pulsował. Goniły. Nie naprzód. Nie do tyłu. Pierścień zaczynał wirować wokół osi, którą była fabryka. Promień okręgu zmniejszał się, to znowu zwiększał. Były wciąż na granicy skutecznego ognia.

Płynęły godziny. Hapiki były niezmordowane, a my coraz bardziej rozdrażnieni. Ile to jeszcze potrwa? Do zachodu słońca? Mógłbym wezwać pomoc, ale nie wydawało mi się to potrzebne. Pierścień wirował. My siedzieliśmy w środku. Żli, zdenerwowani, ale bezpieczni. Dziesiąta godzina, jedenasta... zauważyłem, że promień okręgu zmniejsza się. „Osaczają nas – pomyślałem. – Nie wiedzą, że mamy broń. Poczekajmy jeszcze trochę”. Pierścień zaciskał się coraz bardziej.

– Ognia! – zakomenderowałem. – Ognia!!!

Zakłębiło się. Ostry jazgot karabinów zmieszal się z tupotem hapików. Szary wał zatrzymał się, a potem ruszył na nas. Olbrzymiał w oczach.

Drżenie ziemi, które tak dobrze zapamiętałem. Słyszę jeszcze nasze karabiny, ale po chwili tupot zagłusza wszystko. Film bez dźwięku. Smugi pocisków lecących w stronę czegoś szarego. Czegoś, co przestało być chmurą hapików, a stało się częścią tej planety. Dziwnej. Wrogiej. Ostatnie sekundy. Zakryłem głowę i położyłem się na ziemi. Karabin

obok już nie strzelał. Sen powtórnie przeżywa-ny. Lekkie, bezbolesne niemal uderzenia. Szarość zasłaniająca świat. Moje ciało będące trampoliną do skoku w górę. Na budynek fabryki. Potem cisza.

Ocknąłem się. Szara pustynia. Za mną ruiny. Kilka kroków dalej leżał człowiek. Podszedłem. Żył, ale nie mógł wstać. Obszedłem teren i policzyłem ludzi. Gdy pojawiły się hapiki, konserwatorzy porzucili pracę i przyłączyli się do nas. Żyli. Nikt nie zginął. Spojrzałem na pustnię. Strzelaliśmy ogniem ciągłym. Wokół nas powinny piętrzyć się stopy ciał. Nic nie było. Tylko szary piasek zryty nogami hapików.

Po powrocie nadałem komunikat: „Karabiny maszynowe nie są odpowiednią bronią. Niech eksperci coś wybiorą. Obiekty poruszają się bardzo szybko. Potrafią skakać. Wyso-ko. Nie wierzycie, to kogoś przyslijcie. Czeka-my. Sierżant Garcia”.

A w czterdzieści godzin później zobaczyłem Zorra. Wyjechałem na pustynię. Jak zwykle. Gąsienicówką. Zostawiłem ją i poszedłem na piechotę. Niedaleko pasło się stado. Nie wiem czym. Rosły tu tylko pseudokaktusy. Musiały mnie zauważyć, bo przestały jeść. Wstały, a potem ruszyły w moim kierunku. Miałem ze sobą karabinek. Ten sportowy. Ostatnio, wyjeżdżając na pustynię, zabierałem go ze sobą. Na wszelki wypadek. Nie atakowały. Długimi, płynnymi susami przebiegały obok mnie. Nawet się nie spieszyły. Gdy były w odległości stu metrów, na grzbiecie jednego z nich zauważyłem zgrubienie. Nie wyglądało na młode. Było zbyt masywne. Paradowały przede mną, a ja dopiero po chwili domyśliłem się, że to człowiek.

Nie przewidział, że jestem tak dobrym strzelcem. Poderwałem karabinek. Dostrzegł to. Ciało hapika wygięło się osłaniając Zorra. Jednocześnie strzeliłem. Kula zatrzymała zwierzę w skoku. Nie upadło. Biegło tylko trochę wolniej. Przyspieszyły. Najbardziej ten za nim. Zrównał się z rannym. Przez chwilę biegły obok siebie, a potem z grzbietu hapika oderwał się szary kształt i przeskoczył na zdrowe zwierzę. Zasłoniły go, zanim zdążyłem ponownie strzelić. Do rannego podbiegli inni

hapik i wziął go na coś, co nazwałem grzbietem. Na tę poprzeczkę litery H. Tak, jak nosiły młode. Piasek zasłonił stado. Gdy opadł, już ich nie było.

A więc Zorro istniał. Pokazał mi się, i to był jego błąd. Teraz wystarczyło poczekać przy wyjściu z kopuły. Musiał mieć powietrze i żywność. Ktoś mu to wynosił. Trzeba było tylko cierpliwie czekać.

Czekałem. Chyba ze sto godzin. Nie spałem, bo trudno nazwać snem okresy drzemki, podczas których nie zamykałem nawet oczu. Właściwie byłem już półprzytomny. Wreszcie zobaczyłem go. Człowiek w szarym kombinezonie wyszedł z kopuły i ruszył w kierunku wzgórz. Na horyzoncie, pomiędzy pseudokaktusami coś się poruszyło. Hapik. Przybiegł długimi susami, tak, jakby czekał na niego. Zbliżając się zwolnił nieco. Zorro przebiegł kilka kroków i odbił się do skoku. Wtedy strzeliłem. Raz. Wystarczyło. Upadł na piasek. Hapik zawrócił i położył się przy nim. Dobrze trafiłem. Nie mógł go dosięść. Podsz-

dłem. Gdy byłem o parę kroków, hapik poderwał się i uciekł. Tamten nie ruszał się.

Pochyliłem się nad nim. Znajome, szare oczy. Sara Larmond – córka Szeffa. Żyła i była przytomna. Chciałem ją kopnąć. Powstrzymałem się. Była córką Szeffa Planety. Stałem i patrzyłem. Z dziury w kombinezonie kapał płyn regulujący temperaturę i wsiąkał w piasek. Włączyłem nadajnik.

– To ty? – zapytałem głupio.

– Tak.

„Sara Larmond. Sara Larmond, córka Szeffa Planety” – kołatało mi w głowie.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście.

– Jesteś już pełnoletnia. Wiesz, co ci grozi?

– Tak.

– To również koniec kariery twojego tatusia.

– Tak.

Zdecydowałem się.

– Słuchaj mała – powiedziałem. – Pomogę ci. Zatuszujemy tę sprawę. Musisz mi tylko jedno obiecać.



Nie zapytała co. Patrzyła na mnie.

– Twój ojciec jest bardzo zajęty. Matki nie masz. Jesteś jeszcze bardzo dziecinna i ktoś musi się tobą zaopiekować. Powiedzmy ja.

Milczała.

– Kto cię nazwał Zorrem? – zapytałem jeszcze.

– Ja sama.

– Dlaczego?

– To taki legendarny bohater. Bronił słabych.

– Ludzi?

– Tak. Ludzi. Ludzi przed ludźmi.

Idiotka.

Trzy dni później ogłosiliśmy nasze zaręczyiny.

Sara leżała jeszcze w szpitalu, gdy przyszło to najgorsze. Hapiki zniszczyły naszą dumę – fabryki powietrza. Byłem wtedy u Sary. Zanimosiłem jej kwiaty i trochę słodczy. Siedziałem na brzegu łóżka i patrzyłem na nią. Milczeliśmy. Do pokoju wpadł strażnik. Za nim naczelny lekarz.

– Panie Garcia. Fabryki powietrza!!! Szybko!!!

Nie było co ratować. Mogliśmy tylko położyć się na ziemi i liczyć eksplozję.

...dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, dwadzieścia... To wybuchły piece do redukcji tlenu magnezu. Jeden po drugim.

To ja, sierżant Garcia prowadziłem dochodzenie. Było ono bardzo krótkie. Nasze fabryki powietrza w rzeczywistości produkują tylko tlen. Azot przywieziemy później. Tlen pochodzi z tlenu magnezu, którego jest tu dużo. Redukuje się go na gorąco wodorem, a powstałą wodę rozkłada w elektrolizerach przeponowych. Wodór wraca do obiegu, a tlen jest wypuszczany do atmosfery. Magnez gromadzimy i wysyłamy na Ziemię. Hapiki odszukały wyloty rurociągów odprowadzających tlen na zewnątrz i zasypały je. To wystarczyło. Powstający tlen nie miał ujścia. Jego ciśnienie rosło dopóty, aż zniszczyło przepony elektrolizerów. Wtedy do rozgrzanych pieców redukcyjnych popłynęła mieszanina piorunująca.

Rozmawiałem potem z Sarą. Nie, nie mówiła hapikom, co mają robić. Wyjaśniła im tylko, po co są fabryki powietrza. Zna ich język.

Chciała, żeby wiedziały, co im grozi. Czy to prawda? Nie wiem.

W miesiąc później odbył się nasz ślub.

* * *

Tak. Dziesięć lat. Sara zestarzała się i zbrzydła. To nieprawda, że się nad nią znęcam. Chciałem tylko, żeby porozmawiała z nimi. Teraz, gdy ja jestem Szeferem. Mój teść zmarł dwa lata temu. Objąłem po nim stanowisko. Niestety, fabryki powietrza nie pracują. Hapiki niszczą je jeszcze w trakcie budowy. Obiecałbym im wszystko, byleby zostawiły je w spokoju. Ale Sara odmówiła. Zdradzam ją? Tak, to prawda. Nie, nie z Lałą. To dawno przebrzmiała historia. Z żony nigdy nie miałem pociechy. Brzydka, a w dodatku kaleka. Kula uszkodziła jej staw. Utyka. Z syna też nie jestem zadowolony. Sara się nim zajmuje. Ja nie mam czasu. Pewnie dlatego taki. Trzy miesiące temu złapałem dla niego młodego hapika. Zrobiłem mu nawet specjalną, ogrzewaną klatkę. Widocznie była nieszczelna, bo po dwóch godzinach zdechł. Nie moja wina, że one są tak wrażliwe na tlen. Ten niewdzięczny szczeniak ryczał przez trzy dni. Wlałem mu. Każdy by tak zrobił. Dzisiaj w nocy obudził mnie jego krzyk. „Złodzieje... Złodzieje ziemi...” darł się przez sen. Wlałem mu. Każdy by tak zrobił.

* * *

Świt. Szary jak wszystko. Czyżby na tej planecie nie istniały barwy? Słońce weszło ponad horyzont, ale zwierzęta jeszcze się nie pojawiły. Za zimno. Dopiero, gdy ziemia nagrzeje się, powróci tu życie. Życie wegetujące w blasku białego karła. Ich słońca.

Dziwna planeta. Dziwna, to dobre określenie. Wszystko jest tu dziwne. Nawet życie rozpaczliwie broniące się przed śmiertelnością dłoń nocą. Dziwne są rośliny chowające się po zachodzie słońca. Dziwne zwierzęta, goniące za nim. Dopiero, gdy przyjdzie tu człowiek, powstanie na tej dziwnej planecie prawdziwe, normalne życie. Zakwitną kwiaty, wyrosną drzewa... Ale najpierw trzeba wybudować fabryki powietrza. Po to tu jesteśmy. My. Zbawcy. Stworzymy na niej nowy świat. Świat pełen szczęścia, radości i uśmiechu...